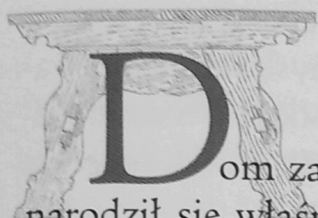


GODKI

KRZYSZTOF ŁEPKOWSKI



Dom zawsze budził moje emocje. Być może ten szczególny stosunek narodził się właśnie na Warmii, dokąd przenieśliśmy się z Warszawy z grupą przyjaciół ze studiów i założyliśmy, dzięki pomocy członków Stowarzyszenia Społeczno-Kulturalnego „Pojezierze”, Pracownię – alternatywną kontrkulturową instytucję. To na Warmii po raz pierwszy zobaczyłem opuszczone domy, wręcz całe skupiska domów-widm, gdzieś jeszcze „ciepłych”, choć w większości zdewastowanych lub całkiem zrujnowanych. Z racji moich studiów widziałem wiele ruin, gorzej lub lepiej zachowanych pałaców, dworów i dworców. Kiedy je oglądałem, zawsze towarzyszyły mi emocje, nawet dzisiaj trudne do opisanie, coś w rodzaju nostalgii, buntu wobec głupoty historii (ludzi, ludzi przede wszystkim), ale jednak odnosiło się to na ogół do czasów odległych.

Na Warmii, w krainie, która nigdy wcześniej jakoś specjalnie mnie nie pociągała, historie ludzi i opuszczonych domów były tak świeże i wręcz ekscytujące, że chcąc trochę pojąć, o co tu naprawdę chodzi, nie sposób było nie poznać historycznego kontekstu. Ta wiedza przyszła jednak trochę później.

Najpierw właśnie w Pracowni, w trakcie wczesnowiosennej akcji „Młyn – 1978”, opuszczone domy w okolicy Plutek, Sętala i Spręcowa stały się bohaterami, jak to się wtedy w naszym środowisku mówiło, działania parateatralnego. Była to po prostu wielogodzinna wędrowka po dzikiej okolicy w grupie 20 młodych osób. Nawiedzaliśmy te domy trochę jako pielgrzymi, trochę jako spóźnieni świadkowie, a przede wszystkim jako zbuntowani młodzi ludzie wściekli na władzę, która doprowadziła kwitnące tu życie do stanu całkowitego wyjałowienia. Chodziły słuchy o gierkowskim planie zamienienia całej północnej Polski w jeden gigantyczny PGR i tym tłumaczyliśmy sobie brak zainteresowania władz ratowaniem tych domów i przekazywaniem ich każdemu, kto tylko chciałby o nie zadbać. Różne refleksje, rozmowy, niesprawdzone plotki towarzyszyły naszej wędrowce.

Liczba opuszczonych domostw robiła na nas wszystkich duże wrażenie. W większości domów były jeszcze pojedyncze meble, gazety po polsku i po niemiecku i nieodłączne atrybuty znajdujące się na strychach, takie jak centryfuga

◀ Ryc. 1. Krzysztof Lępkowski doi krowę — Dynię.
 Oficyna ma już piętro i oszkloną werandę — 1996 r.
Fot. D. Lępkowska



do odciągania śmietany z mleka, imadło z ławką do naprawiania uprząży i druciany grzebień do czesania owczej wełny, przemyślnie umocowany na specjalnym stołku. Wtedy zresztą nie wiedziałem jeszcze, do czego te urządzenia służyły.

Być może dla olsztyniaków, którzy byli po trosze przyzwyczajeni do tych obrazów, nie było to tak szokujące. Dla mnie było to coś zupełnie nowego. Dzieciństwo spędziłem na ciasnym Mazowszu, gdzie każdy budynek peł-

nił swoją funkcję i był wykorzystywany a to na drewnię, a to na spichlerz, komórkę, garaż, kurnik, miejsce do parowania ziemniaków, trzymania śruty, do wylęgu ptactwa, dla królików. Nie było mowy o rozrzutności ani w polu, ani w zagrodzie. Tu zaś zupełnie inaczej — bezkres pól, lasów, chmur i nieba. Duże domy i jeszcze większe, wręcz monumentalne budynki gospodarcze — obory z czerwonej cegły, stodoły giganty. Tym większy więc żal i niezrozumienie, jak można było to wszystko porzucić i doprowadzić do takiej dewastacji.

Pod koniec wędrówki wszyscy byliśmy zmęczeni i samą drogą, i powtarzalnością widoku — domy takie rozpoznawało się już z daleka, chociaż jeszcze trudno było ocenić stan ich dewastacji, z oddali większość z nich wyglądała całkiem przyzwoicie.

Ostatnim etapem drogi i zarazem punktem kulminacyjnym był dom, w którym wcześniej uruchomiliśmy piec kuchenny, a na nim ugotowaliśmy gęstą zupę. Z komina leciał dym, na stole leżała serweta, na niej nakrycie stołowe oczekujące gości. Zmęczeni zasiedliśmy w milczeniu do stołu.

Przez lata kultywowałem w sobie obraz domu i jego otoczenia wyraźnie pod wpływem filmów gruzińskich. Były tam sceny z jakiś przyjęć weselnych, domowych uroczystości, w których ciepło klimatu, pogodny nastrój, wieczorne barwy i półcień, ożywcza roślinność chroniąca przed upałem i czerwone wino, lejące się z oplecionych dzbanów budowały w mojej wyobraźni ideał domu, miejsca do życia i dla życia. Warmia wydawała mi się zrazu ostatnią krainą, w której taki ideał mógłby się urzeczywistnić.

To niezwykle, jak przez lata mieszkania na tych ziemiach to, co wydawało się najbardziej odstraszaające — klimat i spustoszona kraina, obce zabudowania z czerwonej cegły kryte wielkimi dachówkami, stało się tak bliskie, kochane i swojskie. Lecz to osvajanie trwało bardzo długo i nagle, trochę niepostrzeżenie, okazało się, że to jest to — to ten właśnie ogród i ten stół pod drzewami i te cudowne letnie zapachy i dzikie północne wiatry, i rozległe przestrzenie, i rzecz jasna pędzące po niebie chmury, i te niezwykle, wspaniałe domy z czerwonej cegły coraz częściej pokrywane ohydny styropianem, o biada mi, biada, sami dokonaliśmy tego okrutnego aktu barbarzyństwa.

Dom i gospodarstwo, które nabyliśmy z Funduszu w 1982 roku za nieduże pieniądze, były w opłakanym stanie. W domu opuszczonym przez poprzednich właścicieli w 1976 roku, od czterech lat mieszkała rodzina pracowników PGR-u, których styl życia i stosunek do „państwowego” nie odbiegał od normy obowiązującej w tym środowisku. Rodzina Mertenów wybudowała dom „na surowym korzeniu” pod koniec lat 30. Wiemy to od członków tej licznej rodziny, która wielokrotnie odwiedzała nas ku naszej wielkiej radości. To właśnie dzięki nim mogliśmy cofnąć się o kilkadziesiąt lat wstecz i poznać historię tego domu i całego gospodarstwa. To dzięki nim wiemy, w jaki sposób był on budowany. Oczywiście z cegieł, ale nie z tych pięknych czerwonych, kupowanych w okolicznych cegielniach, tylko z własnoręcznie wykonanych, uformowanych z gliny, która została wykopana kilkaset metrów dalej. Prawie w tym samym miejscu cegły były ułożone w wielki stos i po wyschnięciu okryte gałęziami, kłocami drewna, mchem, słomą, właściwie wszystkim, co się paliło i mogło dać jakąś temperaturę. Pod tą „kołdrą” wypalały się przez prawie tydzień. Dało to w efekcie cegłę przydymioną, miejscami przypominającą wysuszoną glinę, dość twardą, choć jednak bardzo wrażliwą na wszelkie zawilgocenie. Dom zbudowany z takiej cegły musiał być otynkowany.

Przez lata poniewierała się po obejściu kratownica z grubych desek, długo nie mogliśmy rozszyfrować do czego mogła służyć. Były różne śmieszne koncepcje; a to coś do nasadzania kwok na jajka, a to do torfowych doniczek na rozsady, pewnie były jeszcze inne pomysły, ale już nie pamiętam. Dopiero w trakcie jednej z wizyt Mertenów dowiedzieliśmy się, że była to forma do cegieł, do tych właśnie cegieł wypalanych w polu, z których powstał nasz dom.

Stary pan Merten był po trosze murarzem, musiał zresztą mieć się różnych zawodów, bo na lichej ziemi trudno było się utrzymać i wyżywić rodzinę.

Tak czy inaczej to on zbudował ten dom, a później oborę i stodołę. Najgorzej, niestety, wyszedł mu dom o dość nieszczęśliwych proporcjach, z elewacją szczególnie nieudaną od podwórka. Próbowaliśmy wielokrotnie poprawić jego kształty, ale tak naprawdę nigdy nie osiągnęliśmy zadowalających efektów. Początkowo zresztą braliśmy bardzo poważnie pod uwagę wersję postawienia nowego domu i zburzenia starego. Powstały plany nawet dość udane, ale o dziwo dość realnie oceniliśmy, że planowane „domiszczę”, coś pomiędzy zasobną chałupą a dworem, przekroczy nasze możliwości finansowe. A poza tym było nam szkoda starego domu.

Miałem jednak wiele wątpliwości, co do takiej lub innej decyzji, i o pomoc zwróciłem się do mojego przyjaciela i zarazem sąsiada Wacka Sobaszka, który w tym czasie rozszyfrowywał chińską Księgę Przemian. Posługując się wysuszonymi łodygami krwawnika wylosowałem wyrocznię, której tytuł brzmiał: „Kociołek”, a objaśniający tekst wyraźnie wskazywał na „... naprawienie zepsutego...”:

*Nad drewnem jest ogień
To obraz kociółka
Tak oto szlachetny wzmacnia
Przeznaczenie poprzez
Naprawienie miejsca.*

To chyba była odpowiedź na moje pytanie.

I tak to się zaczęło, wieloletnie naprawianie zepsutego.

Kociołek — a więc wizja czegoś spełnionego, lecz po drodze wiele realnych niebezpieczeństw. Trudno je teraz wymieniać, wszak nie zawsze był to tylko brak kafelków, cementu czy wanny.

Wanna zresztą nabrała w naszej rodzinnej mitologii szczególnego znaczenia. Jest bowiem bohaterką kilku opowieści. Jedna z nich związana jest z naszą sąsiadką panią Franciszką Berlińską, osobą niezwykłą, o której można byłoby wiele opowiadać. Pani Berlińska to ktoś prosto z zamierzchłej przeszłości, głębokie Polesie, Ściana Wschodnia i Konopielka; doskonale trzy w jednym, ale i w dziwny sposób żądna atrybutów nowoczesności.

Wanna, która w końcu po wielu staraniach pojawiła się w naszym domu, była małą sensacją nie tylko u nas. Wzbudziła duże zainteresowanie naszej

Ryc. 2. Godki, dom i obora w pierwszej fazie remontu w 1989 r. ▼
Fot. K. Lepkowski

sąsiadki, wywołała tęsknotę za posiadaniem podobnej, wielokrotnie była dyskutowana jej przydatność, jak również rozważane były jej inne możliwe zastosowania. W końcu dokonano się. Pani Franciszka kupiła wannę, ściśle mówiąc – dwie wanny. Jakim cudem udało się jej kupić dwie i po co – tego chyba nigdy się nie dowiem. Wiem natomiast, jak bardzo był to towar niedostępny, pamiętam przecież przydziały na gminę – jedna, dwie wanny na rok. Zapisalem się na listę pilnie oczekujących i mimo długiego oczekiwania oraz odpowiedniego miejsca na tejże liście wannę w 1984 roku jako pierwszy otrzymał sąsiad, pan Duczek, będący daleko za mną w kolejce. Oburzony jawną niesprawiedliwością udałem się do naczelnika gminy Herberta Pieczkowskiego i otrzymałem wyjaśnienie nie podlegające dyskusji: Państwo Duczkowie mieszkają bliżej szosy. Zrozumiałem.

Wspominam te wydarzenia bez wyzłośliwiania i ironii. Do dzisiaj są to moi dobrzy znajomi, a do pani Franciszki mam powszechnie znaną w rodzinie słabość, mimo że sprzedaje mi najdroższe w świecie gęsi i indyki.

Remonty i zmiany w naszym domu stały się trwałym elementem w naszym życiu i w ogóle wszelkie budowle w całym gospodarstwie. Przede wszystkim



przebudowa obory, powoli zamienianej na dom gościnny. Długo zastanawialiśmy się nad nazwą dla tego nowego i zupełnie wcześniej nie planowanego drugiego domu. Ostatecznie uznaliśmy, że zaproponowana przez mojego teścia, Janusza, nazwa „Oficyna” podoba się nam najbardziej. I taka funkcjonuje do dzisiaj. Były też próby poszukiwania nazwy dla całego gospodarstwa, trochę pod wpływem naszych gości z Niemiec, a i dla ułatwienia identyfikacji. Janusz Kojrys, właściciel małej stadniny pod Olsztynem, z właściwym sobie wyczuciem proponował „Dolinę Miłości”, ja zaś po przegranej batalii z Sanepidem, który uparcie żądał od nas pięciu zlewozmywaków, proponowałem żartobliwie nazwę „Dolina Pięciu Zlewozmywaków”. Ostatecznie żadna się nie przyjęła i być może tak już pozostanie, gdyż nadawanie nazw, wydaje mi się, nie należy do polskiej tradycji i pobrzmiewa jakąś sztucznością, by nie powiedzieć pretensjonalnością.

Wydawałoby się, że te wszystkie działania wokół domu to już przeszłość i teraz tylko się po prostu mieszka. Nic bardziej mylnego. Pomijam konieczność różnych rzemieślniczych umiejętności bardziej z konieczności niż z jakiegoś zainteresowania. Wszyscy, którzy posiadają własne domy, a już szczególnie na wsi, z pewnością znają ten ból.

Tu jednak chodzi o rzecz znacznie poważniejszą. Zaproponowaliśmy moim Rodzicom przeniesienie się do nas.

Ojciec był lekarzem na wsi pod Skierniewicami, mieszkali z Matką w pięknym miejscu nad rzeką Rawką. W pięknym miejscu i w pięknym, ale służbowym mieszkaniu, będącym częścią mocno przebudowanego dworku, który pełnił funkcję wiejskiego ośrodka zdrowia. Po przejściu na emeryturę, a jednocześnie po śmierci mieszkającej w Skierniewicach siostry ojca, Rodzice zaczęli rozglądać się za miejscem w pobliżu nas. Tuż obok, w Węgajtach, mieszkał mój brat Maciek, więc rzeczywiście z tych względów było to dla nich bezpieczne miejsce. Były różne pomysły i poszukiwania domów w bliższej i dalszej okolicy, stanęło w końcu na tym, że po podzieleniu naszego domu i niewielkim jego powiększeniu uda się stworzyć drugie mieszkanie całkowicie niezależne od naszego. I tak też się stało.

Rodzice przeprowadzili się i dom nasz nagle stał się domem wielopokoleniowym.

Niestety, długo w tym domu nie pomieszkali. Po niecałych dwóch latach zmarła Mama, a parę tygodni później Ojciec. Nigdy rzecz jasna nie rozstrzygniemy,

czy ich decyzja o przeprowadzce była słuszną. I tak, i nie. Czyżby jednak potwierdzało się porzekadło, że starych drzew się nie przesadza? Mama, osoba zawsze pełna temperamentu i wigoru, chyba nie zaakceptowała do końca tej decyzji. Dla niej nasze miejsce i kraina zawsze były obce i tylko obecność synów pozwalała jej myśleć o przeniesieniu się w te strony. Przypuszczam, że żałowała tego kroku i ta obcość oraz ten żal nie pozwoliły jej odkryć dobrych stron tej okolicy. Zamykając się w domu, nie dawała sobie na to żadnych szans. Rzadko widzieliśmy Mamę spacerującą wokół gospodarstwa czy wyruszającą gdzieś dalej. Obydwoje, mimo podeśzłego wieku, byli dość sprawni i poważnie nie chorowali. A jednak nie potrafili rozszerzyć granic swojego domu — raczej mieszkania, poza ciasny ogródek, którym otoczyli swoje państewko. Może było już za późno, na pewno potrzeba im było na to znacznie więcej czasu.

Tym smutnym bardzo wydarzeniom towarzyszy też żal, że cały ten wielki wysiłek związany z adaptacją domu dla Rodziców nie został należycie spożytkowany, że zabrakło w ich życiu w nowym miejscu radości, że chyba poczuli się zesłani do świata, którego już nie mogli, a może też nie chcieli udomowić.

Jestem w stanie to pojąć, wiem bowiem z własnych doświadczeń, że zadowolenie, satysfakcja, wręcz radość, jaka pojawiła się we mnie w związku z domem, rodziła się właściwie równoległe do odkrywania i takiej pozytywnej akceptacji całej okolicy, a nawet całej krainy. Domem nie są już w tej chwili tylko cztery ściany i dach. Przez większą część roku życie toczy się poza nim, może wokół, ale nie w samym domu. Przejście do świata zewnętrznego jest bardzo proste i bezpośrednie — szerokie przeszkłone drzwi na ganek, jeden kamienny schodek i już podwórze, zaraz są pola i las, i leśna droga, którą dojeżdża się do szosy. Te światy dość płynnie się przenikają, nie ma wyraźnych granic. Gospodarstwo, zwierzęta, ogród, praca z przyjeżdżającymi do nas dziećmi na tzw. zielone szkoły, to wszystko dzieje się dookoła.

Wieś przestała być już sielska i anielska, poza zwykłą w tym miejscu pracą doszło mnóstwo siedzenia przy biurku, a ostatnio ku naszemu całkowitemu zdziwieniu przy komputerze. Piszę rozmaite projekty, rozliczam finanse, wypełniam PIT-y. Są to długie i niezbyt lubiane godziny siedzenia w domu.

W końcu wszystkie rozsypane elementy, mimo że życie nie skąpiło również przykrych wydarzeń, harmonijnie się dopasowały. Przestrzeń wokół stała się przyjazna i sprzyjająca. Zasypane śniegiem drogi i brak możliwości wyjazdu nie przerażają jak niegdyś, i to nie tylko dlatego, że zimy już nie te... Padające

▼ Ryc. 3. „Nasza” dzika grusza, która wyznacza pory roku: jest bezlistna – czarna, potem zielona, biało ukwiecona... Za nią widok na wieś Godki, Dolinę Warkalsko-Trojańską i Lasy Kudypskie – 2003 r. Fot. K. Łepkowski

deszcze nie budzą we mnie tęsknoty za ciepłymi i suchymi regionami gdzieś w Polsce, lecz odwrotnie – wywołują radość, bo wiem, że pojawi się woda w licznych wyschniętych polnych oczkach – już bezwodnych ostatnimi laty, że lepiej będą rosły trawy i zboża i mniej będzie podlewania w ogrodzie.

Przestałem też się boleśnie ranić. Tak było na początku. Bez przerwy o coś się potykałem, w coś się uderzałem, miałem kilka poważnych wypadków z rolniczymi maszynami. Ślady tego wszystkiego nosi moja łysa głowa pocięta licznymi bliznami.

Nie było więc tak łatwo wkupić się w nowe miejsce. Tak często wspomina na obcość otoczenia, przyrody i ludzi, to również moja obecność. To ja byłem tym obcym dla tego otoczenia. To niepisane, lecz obowiązujące prawa *genius loci* są surowe i bezwzględnie egzekwowane.

Pamiętając swój długi okres zdomawiania na Warmii, wielokrotnie wypytywałem nasze dzieci o ich relacje z tym miejscem. Ku mojej wielkiej radości odpowiedzi były całkowicie jednoznaczne. To jest ich dom, to jest kraina ich szczęśliwego dzieciństwa bez żadnych wątpliwości. Cieszę się z tego i trochę im zazdroszczę. Ja zmieniałem w swoim dzieciństwie i młodości domy sześciokrotnie.

